

**K. M. Bakow**

# WYBUCH

**opowiadanie**



Opisane wydarzenia są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo występujących w opowiadaniu postaci do rzeczywistych osób jest niezamierzone.

Bielsko tonęło w szarej mgle. Powietrze było wilgotne, a zimno przylepiało się do twarzy niczym będące już tylko wspomnieniem nitki babiego lata. Patrząc na smutny krajobraz piętrzącego się w półmroku blokowiska, trudno było uwierzyć, że gdzieś, ponad chmurami, jest błękitne niebo i stojące w zenicie słońce. Nawet autobusy zdawały się grzęznąć w sinym oparze ledwie rozpraszając go światłami reflektorów. Ludzie sunęli smętnie, anonimowi w poszarzałych paltach i twarzach zamaskowanych szalikami.

Wiśniewska, odgradzona od nieprzyjaznego świata za ledwie ścianką z lichych desek, kopnęła czubkiem buta w nieczynny kaloryfer olejowy. Cicho zaklęła złorzecząc chińskiej tandecie. Z ust kobiety unosił się obłoczek pary. Patrzyła na niego z wyraźną niechęcią. Zatarła zmarznięte ręce. Za mokrą szybą dostrzegła czyjaś sylwetkę. Szarpnięciem odsunęła niewielkie okienko.

Ktoś zawołał:

— Dzień dobry, pani Stasiu!

Nie musiała się nawet pochylać, by wiedzieć, kto to. Poznała po głosie.

— Dzień dobry, pani Witakowa. A co to za dobry? Zimno jak w grobie. Piec mi wysiadł. Patrz pani, jeszcze wczoraj ledwie sweter miałam na sobie, a dziś... Kurtkę musiałam wyciągnąć i rękawiczki.

— Co pani chcesz? Październik to październik.

— Pani. Pamiętam takie październiki, że się w krótkim rękawie chodziło. Nie to co teraz. Pani... Wszystko się popieprzyło

— mówiąc ostatnie słowo ściszyła głos, jakby zdradzała jakiś niezwykły sekret.

— Ano pozmieniało się. Jak byliśmy młode, to było inaczej...

— zgodziła się Witakowa.

— Co dla pani?

— Ze dwa kila ziemniaków i marchewkę. A pomarańcze ma pani słodkie?

— Chyba słodkie, alem tak po prawdzie nie próbowała... — mówiąc to z trudem powstrzymała grymas, bo ze wstrętem przypomniła sobie kwas, który rozlał się wczoraj w jej ustach, kiedy ugryzła kawałek owocu.

— To daj mi pani jedną. Dla prawnuka. Mały ma przyjść dzisiaj.

— Ile on już ma?

— W lipcu miał trzy lata.

— Popatrz pani, jak ten czas leci...

— A pani, kiedy na emeryturę?

— Niby za rok. Ale co ja tam na emeryturę. Pani, to takie pieniądze, że prędzej z głodu umrę, niż...

Wiśniewska nie zdążyła dokończyć, bo w tym momencie powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb, rozbijających się o chodniki. Samochody zawyły kakofonią alarmów. Nie minęła sekunda, gdy drugi wybuch — jeszcze silniejszy — zadudnił w wąskich alejkach pomiędzy blokami.

Alarmy wyły, w górze krążyły przeraźliwie kracząc stada spłoszonych ptaków, ludzie w popłochu kulili się na chodnikach albo biegli przed siebie, byle dalej od źródła wybuchu. Kilka osób wrzeszczało w panice, a staruszek idący o lasce złapał się za serce i ciężko opadł na ławkę.

Spomiędzy czteropiętrowców w powietrze uniósł się kłęb kurzu i dymu.

Witakowej dzwoniło w uszach.

— Pani Wiśniewska! Matko jedyna! — zawołała. — Żyjesz pani?

— Rany boskie, pani Stasiu, co to było? To chyba z bloku od Karwińskiej.

— Nie, pani, spod dwadzieścia trzy.

— Rany boskie — powtórzyła Wiśniewska — bomba czy co? Terrorysty.

— Ale cóż to pani za głupoty gadasz, w imię Ojca i Syna... — oburzyła się sklepikarka. — Gdzie u nas terroryści? Gaz pewnie.

— A może i gaz. Pójdę zobaczyć.

— Lepiej niech pani już nigdzie nie idzie, bo może jeszcze raz wybuchnąć... — zawiesiła głos na sekundę — lepiej sama pani nie idź... Idę z panią.

Chwilę później w oddali rozległo się przeraźliwe wycie syren.

## 2

Podkomisarz Zbigniew Leśniak pełniący tymczasowo — w zastępstwie Edyty Orłowskiej — obowiązki szefa grupy kryminalnych w bielsko-bialskiej komendzie, był wściekły. Właśnie miał jechać do domu po nieprzespanej nocy i męczącym poranku. Oczy kleiły mu się z niewyspania, a pod zaczerwienionymi powiekami czuł piasek. I właśnie wtedy, gdy niemal stał już w drzwiach, dostał wezwanie. Do wybuchu. Wiedział o co chodzi, bo o tragedii na nieodległym osiedlu natychmiast zrobiło się głośno i cała komenda nie mówiła o niczym innym. Zresztą sam Leśniak słyszał eksplozję, ale pochłonięty kolejnym sprawozdaniem, nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Teraz miał jechać na miejsce wypadku.

Chociaż najchętniej, gdyby tylko miał komu, zwałyby ten wyjazd komuś na głowę, ale z drugiej strony ze złością walczyła czysto ludzka ciekawość.

Armagedon, który zastał na osiedlu Złote Łany, przerósł jego najśmielsze oczekiwania. W promieniu trzystu metrów wszędzie walały się szczątki pozostałe po wybuchu. Lekki wiatr unosił we mgle kawałki styropianu z okładziny bloku. Latały papiery, nadpalone gazety, śmieci. Wszędzie tłoczyli się gapie z trudem powstrzymywani przez strażaków, policję i straż miejską. We mgle zmieszanej z dymem i pyłem pulsowały dziesiątki niebieskich świateł, słyhać było nieustanne skrzeczenie radiostacji i nawoływania ratowników.

Patrol przepuścił jego samochód bliżej, w głąb osiedlowej alejki. Przejechał kilka metrów i stanął na ukośnym trawniku, nie chcąc tarasować przejazdu wozom pożarniczym i pogotowiu

gazowemu. Ziemia dookoła skrzyła się od kawałków szkła z rozbitych szyb. Trzy bloki — od strony eksplozji — pozbawione były okien. Najbardziej tragicznie wyglądała sytuacja w środkowym budynku. Z jego lewej strony na czwartym piętrze dymiła wielka dziura. Leśniak miał wrażenie, że odpadł cały segment z wielkiej płyty. Gruz na skwerku pod spodem, potwierdzał przypuszczenie Zbyszka. Dach bloku był wyraźnie wygięty ku górze i przesunięty.

Jezus Maria — pomyślał, choć nie należał do zbyt pobożnych.  
— Jezus Maria.

— Witam, komisarzy — usłyszał znajomy głos.

Z szarej mgły wyłonił się dowodzący akcją Roman Blachon, kapitan straży pożarnej.

— Dzień dobry kapitanie! — odpowiedział, nie odrywając oczu od przerażającej wyrwy. — Co tu się stało?

Strażak opowiadał, idąc powoli w stronę swojego samochodu.

— Gaz. I to podwójnie.

— Co to znaczy: podwójnie?

— Najpierw instalacja, a zaraz potem butla.

— Kto trzyma w domu butlę? — Leśniak zdziwił się w pierwszym momencie, po czym uświadomił sobie, że pracując tyle lat w policji, widział już takie idiotyzmy, że żadna ludzka głupota nie powinna go właściwie dziwić.

— Kto, to przynajmniej wiemy — odpowiedział Blachon — Rodzina. Szabłońscy.

— Ofiary?

— No właśnie... — zawiesił głos kapitan. — Po to pana wezwaliśmy. Na szczęście, biorąc pod uwagę skalę, tylko jedna. Ale... Hmm... Sam pan zobaczy.

Otworzył bagażnik i podał mu pomarańczową kamizelkę i żółty kask, który policjant nieporadnie próbował usadzić na głowie.

— Można tam wejść? — Leśniak miał zasadnicze wątpliwości patrząc na kikuty zbrojenia i luźne kawały betonu sterczące ze ścian.

— Pod nami się raczej nie zawali. Ale — wskazał głową na grupkę ludzi kłębiących się nieopodal — oni nieprędko wrócą do swoich domów. O ile w ogóle wrócą. Będą czekać na wyniki ekspertyzy, a to, jak znam życie, będzie trwało i trwało.

Mężczyźni weszli do klatki schodowej. Schody trzymały się mocno aż do trzeciego piętra. Wyżej widać było wyraźnie, jak bardzo dom ucierpiał. Konstrukcja budynku została naruszona i w ścianach pojawiły się głębokie na dłoń, równomierne pęknięcia, odsłaniające układ betonowych płyt.

Ekspertyza ekspertyzą, ale i bez niej na oko widać, że tu już raczej nikt nie wróci — pomyślał smutno.

Aby nie ryzykować wspinania się po zniszczonych stopniach, oficerowie skorzystali z drabiny. Dopiero tutaj, na ostatniej kondygnacji, Leśniak zobaczył, jaka jest prawdziwa skala zniszczeń. Przypomniały mu się fotografie i filmy z nalotów na Bejrut, które pamiętał sprzed dwóch lat. Ściana mieszkania, w którym wybuchł gaz była zwalona na bok, przegradzała korytarz na pół. Oczywiście nie ostała się najmniejsza nawet tafła w przeszkleniu klatki schodowej. Kikuty futryn drzwi od sąsiednich lokali z trudem trzymały się na swoich miejscach. Po samych drzwiach nie pozostał nawet ślad. Pełno było gruzu, śmieci i chrzęszczących pod stopami odłamków. Śmierdziało spalenizną.

— Nie wiedziałem, że gaz może aż tak pieprznąć — powiedział cicho podkomisarz. Szeptał, jakby podświadomie bał się, że przy głośniejszym odgłosie wszystko runie niczym domek z kart.

— Niestety może. A mało kto jest tego świadomy.

— Jakim cudem zginęła tylko jedna osoba?

— Walnęło tuż po jedenastej — wzruszył ramionami. — Ludzie w pracy, a dzieciaki w szkole. Mamy poranionych, ale na szczęście tylko odłamków szyb. Sam się dziwiłem, że nikogo nie przywaliło w tym gruzowisku.

Podkomisarz zerknął na zegarek.



— Cholera, już wpół do trzeciej, nawet nie wiedziałem, że tak późno. Całą noc siedziałem w robocie. I cały dzień. Ledwo w sierpniu postawili figurę Reksia, a już wandalę się na niego uwzięli. I żeby prestiż miasta nie ucierpiał, tropimy złodziei psiego ucha. Właśnie miałem jechać do domu.

Strażak ostrożnie wszedł do zrujnowanego mieszkania. Leśniak wsunął się za nim. To, co od razu rzucało się w oczy, to brak wielkiego fragmentu zewnętrznej ściany. Zimny powiew wdzierał się do mieszkania, unosząc co chwilę obłoki kurzu. Pomieszczenie było niemal puste, ale wystarczył rzut oka na ściany, pod którymi piętrzyły się pokiereszowane meble, by zorientować się, dlaczego. Widać pewnie tu, obok balkonu, stała butla gazowa, o której mówił Blachon. Gdy wybuchła, wszystko, łącznie ze ścianami, zostało zmiecione.

Na miejscu było dwóch strażaków — ekspertów i dobrze znany Zbyszkowi patolog — Mencnarowski.

— Cześć Piotrze! — powitał go skinieniem głowy. Widząc na dłoniach lekarza rękawiczki zrezygnował z podania mu ręki.

— Cześć! — burknął Mencnarowski i wskazał głową w stronę, jak się domyślił Leśniak, kuchni. — Chodź, robota czeka.

— Wybaczcie, ale ja z wami nie pójdę — rzekł kapitan.

— Mhm... — zbył go Leśniak, skoncentrowany na przedzieraniu się przez gruzowisko. Zbyszek z wysiłkiem przekroczył stertę pokruszonego tynku i poprzewracanych krzesel. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ta plątanina jeszcze niedawno — raptem trzy czy cztery godziny temu — była czymś domem.

W ślad za patologiem wszedł do pomieszczenia, które było kuchnią. Piotr machnął ręką w kierunku miejsca pośród porozwalanych mebli i kawałków ścian. W pierwszej chwili Leśniak nie był pewny, na co patrzy.

Kuchenka — pomyślał — to na pewno kuchenka.

Upewnił go w tym widok czterech palników, które jakimś

cudem zostały w całości. Jednak, tym na co wskazywał patolog, był umieszczony poniżej piekarnik.

Podkomisarz podziękował opatrności, że nie jadł śniadania. Choć poczuł w gardle smak cofniętej z żołądka kawy.

W czymś, co kiedyś było piecykiem, czerwieniły się splątane, potwornie okaleczone zwłoki. Zbyszkowi udało się rozróżnić, na wpół przysypane nogi i chyba kawałek ręki. Reszta ciała wtłoczona była do wnętrza kuchenki.

— Rany boskie — wyszeptał.

— Dobre określenie — zauważył sarkastycznie lekarz. — Rany boskie.

— Samobójstwo?

— Może... Wybuch raczej nie wsadziłyby komuś głowy do piekarnika.

Za drzwiami pomieszczenia pojawił się dzielnicowy Adam Rybiński. Bez zbędnych powitań powiedział:

— Dziewczyna. Dorota Szabłońska. Miała siedemnaście lat. Tyle co moja córka. Kompletnie popieprzone...

— Co to za rodzina?

— Normalna. Ojca dziewczyny zawieźli do szpitala. Matka uparła się i siedzi na dole. Czeka aż jej dziecko zejdzie na dół. Nic do niej nie dociera...

— Dziwisz się? — mruknął Mencnarowski.

— Nie dziwię się.

Zapadła chwila milczenia. Śmierć była dla Piotra czymś naturalnym, a biorąc pod uwagę, że spędzał z nieboszczykami więcej czasu niż z żywymi, była mu stałą towarzyszką. Leśniakowi również nie była obca i wydawałoby się, że obaj są odporni na różne jej oblicza, ale śmierć potrafiła zaskoczyć. I wybić z codziennej rutyny, przypominając dobitnie, jak jest parszywa i okrutna.

W końcu, wskazując na zwłoki, podkomisarz zapytał Rybińskiego:

— Były z nią jakieś kłopoty? Gigant, poprawczak? Notowana?

— Nie. Nic o niej nie wiem. Znaczy, teraz już wiem, bo rozpytałem trochę. Uczyła się w liceum plastycznym. Chodziła ubrana kolorowo. Czasem puszczała głośno muzykę, jak rodziców nie było w domu. I tyle...

— Patrzcie, co ludzie pamiętają o nas... — zamyślił się Mencnarowski. — Że puszczaamy głośno muzykę. Ma pan rację Adamie, kompletnie popieprzone.

Na korytarzu usłyszeli głos technika policyjnego — Krzysztofa Wanata.

— Nic tu po nas — stwierdził Leśniak. I lekko popchnął dzielnicowego w stronę wyjścia. — Krzysztof zajmie się wszystkim. I Piotr.

Rodzice dziewczyny pograżyli się w rozpacz. Strata jedyne­go dzie­cka była potwornością, a połączona z utratą całego dorobku życia stała się ponad siły. Ponieważ na wstępnym etapie śledztwa Zbyszek założył, że doszło do samobójstwa, więc nie naciskał, aby przesłuchano udręczonych rodziców. Zresztą lekarze też stanowczo się temu sprzeciwili.

Pozostawało czekać.

Minął piątek i weekend.

W poniedziałek rano wszystko się zmieniło. Do pokoju grupy dochodzeniowej przyszedł Mencnarowski z Wanatem.

— Pozwolicie, że ja pierwszy — rozpoczął technik. — Nie ma mowy o samobójstwie. Ktoś usiłował spreparować miejsce, żeby na to wyglądało. Na szczęście dla nas był kompletnym idiotą. Kuchenka była gazowa, ale piekarnik elektryczny. Nie ma więc wątpliwości, że dziewczynie ktoś pomógł przenieść się na tamten świat.

— Zabójca popełnił błąd — wtrącił Piotr — ale dzięki temu, nieświadomie, bardzo mi pomógł. Komora piekarnika stała się czymś w rodzaju kasku motocyklisty, który ochronił — jeśli można tak powiedzieć — głowę i eksplozja jej nie zniszczyła.

— To znaczy?

— Mogłem stwierdzić, że ofiara przed wybuchem miała strza­skaną czaszkę. Kość potyliczna i ciemieniowa prawa są ukruszone. Uderzenie musiało być mocne, bo pękł łączący je szew węglowy.

— Czyli to tutaj? — sierżant Jerzy Pieniążek pokazał na tył swojej głowy na wysokości lekko wystającego ponad szyją guzka.

Mencnarowski przytaknął i mówił dalej:

— Nawet jeśli to nie było bezpośrednią przyczyną zgonu, to musiało ofiarę pozbawić przytomności.

— Mogła się uderzyć sama?

— Nie.

— I jesteś pewien, że to się nie stało podczas eksplozji?

— Tak, jestem. A nawet jestem pewien, że dziewczyna w momencie wybuchu już nie żyła od jakiś trzech godzin. Szacuję czas śmierci na ósmą rano.

— Czyli udział osób trzecich... — podkomisarz schował twarz w dłoniach. — Cholera.

Do rozmowy włączył się Jurek:

— Strażacy twierdzą, że wybuch zainicjowało zwarcie w instalacji. Prawdopodobnie dzwonek domofonu. Zresztą to się zgadza. Facet roznoszący reklamy dokładnie w tym czasie nacisnął na wszystkie guziki domofonów, żeby ktoś go wpuścił do klatki. I właśnie wtedy wszystko pieprznęło. Kuchnia musiała być solidnie wypełniona gazem, a domofon był tuż obok, w przedpokoju. Wszystkie kurki w kuchence były odkręcone. Żeby wybuchło, musi być około pięć procent gazu. Pi razy oko: dwie godziny ulatniania się gazu, przy palnikach na ful.

— Czyli od jedenastej sześć... Minimum dziewięta — policzył Zbyszek.

— Mniej więcej.

— Dziewczyna zmarła około ósmej — zauważył aspirant — To daje mordercy, plus minus, godzinę.

— Jeśli nasze szacunki są trafne. Wystarczyło uchylone okno i czas wydłuża się o... No właśnie, nawet nie wiemy, o ile. To wrózenie z fusów. Znalazłeś coś jeszcze? — podkomisarz zwrócił się do Krzysztofa.

— W tym gruzowisku? Niewiele. Ale na podłodze w salonie, wśród pogorzeliska było sporo krwi. Jeśli zabójca zostawił jakieś

inne ślady, to nic się nie ostało. Wszystko wymieszane... Zresztą, co ci będę mówił, sam widziałeś.

Leśniak pokiwał głową:

— Widziałem. A co z tym drugim wybuchem? Wiadomo, że były dwie eksplozje.

— Zaraz po pierwszym wybuchu — opowiadał technik — rozwaliło butlę gazową. Po południu facet ze spółdzielni miał im położyć papę na balkonie. Pod wylewkę. Przyniósł gaz dzień wcześniej, razem z opalarką, bo wiedział, że nie będzie miał samochodu. Teraz nieźle beknie, bo tak naprawdę większość strat spowodowała ta butla. To gorsze niż granat. To jej wybuch rozwalił konstrukcję budynku.

— No to ma problem... My też. No trudno, siedząc nic nie wymyślimy — zafrasował się Leśniak. — Musimy jakoś porozmawiać z rodzicami Doroty. Przykra sprawa. Zajmę się tym, a ty, Jurek, spróbuj dotrzeć do sąsiadów. Nie będzie łatwo, bo wszyscy rozjechali się po rodzinach.

— Wolę to, niż rozmowę z Szabłońskimi.

— Nie dziwię ci się.

Weronika Szabłońska siedziała skulona na kanapie w mieszkaniu siostry.

— Wie pan, ja tak właściwie to nie palę — mówiła nerwowo ściskając papierosa w trzęsących się rękach. Miała podkrążone oczy, nieustannie wypełnione łzami.

Wiadomość o tym, że jej córka została zamordowana, przyjęła lepiej, niż Leśniak się spodziewał. Miał nawet wrażenie, że odetchnęła z ulgą. Wiedział, że Szabłońscy byli bardzo religijni i podejrzewał, że samobójstwo było, w ich rozumieniu, grzechem najcięższym. Poza tym — paradoksalnie — morderstwo zdejmowało z nich jakąś, choćby małą, część poczucia odpowiedzialności. Co niestety nie umniejszało ich bólu.

Zbyszek rozmawiał na razie tylko z matką. Ojciec wciąż leżał w szpitalu. Rodzinną tragedię przyplącił zawałem serca.

Siostra Weroniki przyniosła herbatę i usiadła obok Szabłońskiej, obejmując ją ramieniem.

— Proszę spróbować opowiedzieć mi o ostatnich dniach, przed wypadkiem. Może coś się wydarzyło. Coś, co zwróciło pani uwagę albo uwagę męża.

Kobieta nerwowo potrząsnęła głową.

— Nic, nic — pociągnęła nosem. — Takie zwykłe sprawy. Samochód mieliśmy kupić. Ale teraz to takie nieważne.

— Może ktoś państwa odwiedzał? Wchodził do mieszkania?

— Nikt. Tylko chłopak od Dorotki... — kobieta zaszlochała.

— Łukasz — powiedziała siostra. — Michałowicz.

— Michalewicz — poprawiła matka, wycierając oczy chusteczką.

— Czy ostatnio córka jakoś inaczej się zachowywała, miała nowych znajomych?

Matka zaprzeczyła:

— Nie... Raczej nie. Tyle, że... że... — kobieta zawahała się

— Tak? — zapytał.

— Nie, nic. Ja już proszę pana nic nie wiem. Już nie wiem, co się działo naprawdę, a co w telewizji widziałam i teraz tylko mi się wydaje.

— Proszę mówić wszystko, co pani przychodzi do głowy. Czy to prawda czy nie, nieważne. Sprawdzę.

— Bo wie pan — głośno wydmuchała nos. — Przepraszam. Wie pan, Dorotka miała chyba jakiś konflikt. Z koleżanką ze szkoły. Wiem, bo ciągle była naburmuszona i bez ustanku pisała tylko esemesy. Ale o co im tam dokładnie chodziło, nie wiem, bo córka raczej była skryta i o swoich sprawach mi nie opowiadała.

— Na pewno to sprawdzę. — Podkomisarz zerknął na swoje notatki. — Może mi pani powiedzieć, gdzie mieszka Michalewicz? Szabłowska dłuższą chwilę się zastanawiała.

— Chyba na Mickiewicza, ale dokładnie to nie wiem. Wie pan, córka... — zaszlochała.

Zbyszek wiedział, że więcej od zrozpaczonej kobiety już nie wyciągnie.

Pożegnał się i dyskretnie wymknął z mieszkania.

Stwierdził, że szukanie po omacku adresu chłopaka zmarłej nie ma większego sensu. Postanowił porozmawiać z dyrektorem „plastyka”, ten będzie miał adresy uczniów. Liczył, że może za jednym zamachem uda się też spotkać z wychowawcą klasy, do której chodziła dziewczyna.

— To straszna tragedia. Straszna — mówił ciężko dyrektor Bursztynowicz. — Nie wiem, jak jej rodzice sobie z tym poradzą. To wydaje się ponad ludzkie siły.



— Czy może pan coś powiedzieć o Dorocie Szabłońskiej?

— Uczę geografii w jej klasie, lecz trudno mi coś więcej powiedzieć ponad to, że była przeciętną uczennicą. Za chwilę przyjdzie wychowawca, myślę, że on będzie w stanie przybliżyć panu...

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pomieszczenia wsunął się mężczyzna w średnim wieku z nastroszonymi we wszystkie strony włosami.

Bąknął nieśmiało dzień dobry i nerwowo usiadł na przystawionym do dyrektorskiego stołu krześle. Patrzył z przejęciem na Leśniaka, jakby ten za moment miał mu postawić zarzut morderstwa. Z głośnym trzaskiem wyłamał palce, po czym chrząknął coś, co od biedy można było uznać za: przepraszam.

— To pan Artur Baran, wychowawca drugiej klasy — przedstawił dyrektor. — Pan komisarz Leśniak przyszedł porozmawiać o Dorocie Szabłońskiej.

— Tak, tak słyszałem. — Mężczyzna powiedział niespokojnie. — To straszne...

Leśniak nie chciał kolejny raz słuchać o wielkiej tragedii. Nie żeby uważał, że śmierć nastolatki nią nie była, ale kiedy osoby, z którymi rozmawiał koncentrowały się na losie rodziny Szabłońskich, umykał im trzeźwy osąd zmarłej i związanych z nią wydarzeń.

— Proszę opowiedzieć mi o Dorocie — wszedł w słowo nauczycielowi.

— Niewiele mogę. Jestem wychowawcą tej klasy od niedawna. Od końcówki zeszłego roku szkolnego. Koleżanka poszła na urlop macierzyński i ja jestem niejako w zastępstwie. — Baran podrapał się po drucianej fryzurze. — Dorota. Kurczę, zwyczajna dziewczyna. Uczyła się przeciętnie, ale problemów z nią nie było. Nie miała może wielkiego talentu, ale była dość pracowita. Pewnie nie powinno się teraz tak mówić — zmartwił się — w końcu ona...

— Proszę się nie przejmować. Próbuję zrozumieć, co się stało. Każda informacja może być przydatna — uspokoił go podkomisarz.

— A tak właściwie, wiecie już, co się stało? — wtrącił dyrektor.  
— Wypadek? Przecież gdyby to był wypadek, nie byłoby tu pana.

— Panie dyrektorze — Leśniak spojrział na Bursztynowicza, jak na pięciolatka, który wszedł do kałuży. Geograf zamilkł posłusznie, choć łatwo było dostrzec, że nie przywykł do wykonywania cudzych poleceń. Zbyszek ponownie zwrócił się do wychowawcy:  
— Jakie były jej relacje z rówieśnikami? Z klasą?

— Miała w klasie chłopaka, Łukasza Michalewicza. — Stwierdził po namyśle. — Chyba byli parą od niedawna, bo wydaje mi się, że przed wakacjami Łukasz chodził z Iwoną Jacher. Dziewczyny, zdaje się, za sobą nie przepadały. Ale szczegółów nie znam. Wie pan — dodał jakby na usprawiedliwienie. — Uczniów mam w klasie dwudziestu czterech, a każde z dzieciaków ma jakieś swoje kłopoty w szkole i poza nią. Kiedyś bardziej się angażowałem, nawet prywatnie, ale teraz, powiem szczerze, jestem w trakcie rozwodu i nie mam głowy do niczego, do czego nie muszę.

Leśniak pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Dziękuje panom za pomoc. Czy ta... — zerknął w notatki — Jacher jest w szkole? I Michalewicz?

— Iwona jest — skinął głową Baran — Łukasza nie ma od... Od zeszłego wtorku. Złamał nogę. Teraz, po śmierci Doroty całkiem się załamał. Dzwoniła jego matka.

No to chociaż jego mam z głowy jako podejrzanego — pomyślał Zbyszek, a głośno powiedział:

— Można to zrozumieć. Mógłbym porozmawiać z Iwoną Jacher? Może tutaj? Jeśli pan dyrektor się zgodzi. Poproszę również o adres Michalewicza.

— Oczywiście — Bursztynowicz zawahał się na moment — czy do przesłuchania nie potrzeba zgody rodziców?

— Do przesłuchania tak, lecz ja chcę tylko porozmawiać.

Dyrektor kiwnął głową. Mężczyźni wyszli z gabinetu pozostawiając Leśniaka samego. Po kilku chwilach do pokoju dyrektora weszła nastolatka. Wyglądała i zachowywała się jak modelka.

Pewnie ma powodzenie — pomyślał policjant.

— Jestem podkomisarz Zbigniew Leśniak — powiedział. — Iwona Jacher, tak?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Wiesz pewnie, co mnie sprowadza?

— Ja jej nie zabiłam — rzuciła dziewczyna tonem pełnym pretensji.

Leśniak spojrział na nią, z trudem maskując kompletne zaskoczenie.

— A czy ja twierdzę, że to zrobiłaś? — starał się powiedzieć łagodnie.

— No to po co pan tu jest? — zreflektowała się. — Przecież wiem, że Łukasz już wszystko wam wyśpiewał. Byłam u niej wtedy — mówiła szybko, jakby chciała wszystko z siebie wyrzucić. — Rano. To fakt. Kłóciłyśmy się. Uderzyłam ją w twarz. Ale wcale nie mocno. Powiedziałam, żeby odwaliła się od Łukasza. Bo mi go zabrała. Przez wakacje tak go zbajerowała, jak ja byłam u matki w Anglii. I on mi napisał, że mnie przeprasza.... Dla niej! A, proszę pana, my byliśmy... To była przecież... — zamilkła, wpatrując się Leśniaka wystraszonym wzrokiem.

— Po co poszłaś do Doroty? — wtrącił.

— Pogadać. No, a właściwie to miałam ją prosić, żeby go zostawiła. Ale ona była uparta. Strasznie się wściekłam. I trzasnęłam ją. I poszłam. Nawet drzwi nie zamknęłam za sobą. Taka byłam wściekła.

— O której godzinie byłaś u Doroty?

— O wpół do ósmej. Przed budą. Ja mieszkam niedaleko. Mam po drodze do Szabłońskiej, jak idę na autobus. W czwartek mamy

późnej lekcje. To pomyślałam, że z nią przedtem pogadam. Wiedziałam, że będzie sama, że jej rodziców nie będzie.

— Skąd?

— No, bo znam Dorotę od podstawówki. Razem chodziłyśmy do klasy. I wiem, że jej starzy pracują od rana. Chyba chodzą na siódmą jakoś.

Leśniak uważnie obserwował dziewczynę. Była bardzo podeenerwowana, ale wyglądało, że do tej pory mówi prawdę. Dopiero przy następnym pytaniu zawahała się i odpowiadała wolniej. Pewnie sama tego nawet nie zauważyła, ale dostrzegł to śledczy.

— Co zrobiłaś potem, jak już wyszłaś od Doroty?

— Autobusem pojechałam do budy. Byłam za wcześnie i musiałam czekać na lekcje. Jak pan pyta o alibi, to gadałam z portierem, takim młodym, ciągle mnie chce poderwać. On potwierdzi.

— No dobrze, Iwona, obawiam się jednak — Leśniak nie spuszczał wzroku z dziewczyny, jej rozbiegane oczy, drżący głos i nie-naturalna gestykulacja mówiły mu, że dziewczyna kręci — że będziesz musiała pojechać ze mną do komendy, gdzie spiszę twoje zeznania.

— Ale jak to? — dziewczyna się zdenerwowała. — Przecież powiedziałam, że nic jej nie zrobiłam.

Zbyszek wyciągnął dłonie w uspokajającym geście.

— Spokojnie. Powiedziałem, że tylko spiszę zeznania. Nie twierdzą, że jesteś czemukolwiek winna.

Niestety, to nie było prawdą. Myślał inaczej, bo uderzył go jeden szczegół. Dlaczego dziewczyna od razu stwierdziła, że Szabłońską zabito, choć nie mogła tego wiedzieć? Oficjalną wersją, którą na razie podano w mediach, była śmierć w wypadku.

Iwonę Jacher po spisaniu zeznań wypuszczono do domu. Nie było podstaw do zatrzymania, a pomyłka śledczych mogłaby zwichnąć dziewczynie życie. Lepiej było poczekać i sprawdzić jej informacje.

Młody portier potwierdził, że w feralny czwartek rozmawiał rano z Jacher. Tyle że nie wiedział, o której dziewczyna przyjechała do szkoły. Jedno pamiętał dokładnie: była na długo przed swoimi lekcjami. To, niestety, niczego nie wyjaśniało, bo dziewczyna zaczynała zajęcia o dziewiątej czterdzieści pięć.

— Załóżmy, że przyszła do Szabłońskiej o siódmej trzydzieści — obliczał Pieniążek. — Ile mogła trwać awantura?

— Cholera wie? — mruknął Zbyszek. — Nastolatki są kompletnie nieobliczalne.

— Piętnaście minut?

Leśniak zastanowił się:

— Tyle wystarczy, żeby kogoś walnąć w twarz.

— Mnie wystarczy piętnaście sekund — zripostował Jurek — Na przesłuchaniu Jacher mówiła, że to była chwila. Ale założymy, że kwadrans. Wybiega, idzie na przystanek. Ile to?

— Sprawdziałem. Według rozkładu jazdy dojazd do centrum zajmuje dziesięć minut.

— No to mamy dwadzieścia pięć. Plus minus dziesięć minut na dojscie do szkoły i nie wiem... toaletę? Niewiele ponad pół godziny. Czyli mamy trzy kwadranse luzu. Czy tyle siedziała z portierem?

— Rozmawiałeś z nim, więc sam powiedz — stwierdził Leśniak.

— To bajerant. Ja bym z nim nie wytrzymał nawet pięciu minut.  
— Bo nie masz długich włosów, wielkich oczu i odpowiednich wymiarów.

Jurek machnął ręką.

— Mogła to zrobić — zawyrokował. — Miała czas, żeby zabić Szabłońską i upozorować wypadek.

— Szkoda — stwierdził podkomisarz. — Wielka szkoda takiej młodej dziewczyny.

Sprawa wydawała się rozstrzygnięta.

Zeznania Łukasza Michalewicz potwierdziły jątrzący się konflikt obu dziewcząt. Komórka Jacher także jednoznacznie wskazywała na częste i zgoła wrogie kontakty.

Czas morderstwa pokrywał się z chwilą, w której Iwona była w mieszkaniu Szabłońskich. Co więcej, jedna z sąsiadek przypomniała sobie, że widziała ją wybiegającą z klatki schodowej, więc pozornie wszystko się zgadzało z zeznaniami Jacher, tyle że sąsiadka twierdziła, że było to nie za piętnaście ósma — jak twierdziła dziewczyna — a co najmniej pół godziny później, czyli wówczas, gdy ofiara, według opinii patologa, już nie żyła.

Iwona stawała się główną podejrzaną, a jedyne, co mogło budzić wątpliwości śledczych, to charakter obrażeń Szabłońskiej. Układ ran sugerował, że zadała je osoba praworęczna, a Jacher była mańkutem. Mimo tych wątpliwości, Leśniak nakazał mundurowym doprowadzić dziewczynę na komisariat.

Niestety. Wysłany do jej mieszkania patrol dowiedział się od poważnie zaniepokojonego brata, że Iwony od wczoraj nie ma w domu i nie ma pojęcia, gdzie może być. Twierdził, że nie ma jej u rodziców w Anglii, zadzwonił też do wszystkich znajomych i nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nią dzieje.

— Szlag jasny! Uciekła — wściekał się Zbyszek. — Mam, za moje dobre serce. Po co tyle zwlekałem? Od razu trzeba było ją przymknąć.

— Uspokój się — próbował łagodzić sytuację Jurek. — Wciąż mamy tylko poszlaki. Żadnych mocnych dowodów. Ktoś coś widział, komuś coś się wydaje...

Przemowę przerwał mu dźwięk telefonu. Zbyszek machinalnie podniósł słuchawkę. Gdy dotarło do niego, co mówił dyżurny, zbladł. Podziękował i rozłączył się.

— Znalaziono Iwonę Jacher. Ciężko pobita. Leżała w piwnicy własnego bloku.

— Żyje?

— Tak, ale jest w stanie bardzo ciężkim. Wiozą ją na OIOM.

— Cholera jasna!

— Dzwon tam.

Po chwili policjanci wiedzieli już, że nie ma szans, by w najbliższych dniach porozmawiać z Iwoną. Pozostawało czekać.

Po trzech dobach Iwona na chwilę odzyskała przytomność. Nim z powrotem zapadła w nieświadomość, wyznała coś pielęgniarce:

— Niech pani powie temu policjantowi, że ja tam wróciłam. Chciałam przeprosić. Naprawdę. Ale... Ktoś tam był — mówiła szeptem z najwyższym trudem. — Dorota na podłodze. Cała we krwi...

W dwa kwadranse później informacja dotarła do podkomisarza.

— Jeśli to, co powiedziała Jacher, jest prawdą, ktoś wszedł do mieszkania i zabił Dorotę Szabłońską — rozważał Zbyszek.

Jurek poddawał w wątpliwość słowa Iwony:

— To się kupy nie trzyma. Zobacz: dziewczyny kłócą się i nagle, niczym anioł zemsty, w mieszkaniu pojawia się tajemniczy ktoś — ironizował. — Zabija jedną z nich, tą złą, co ukradła chłopaka. Po czym, ta druga wraca i, och... koleżanka nie żyje, co za niefart. Mogę teraz znów romansować ze swoim byłym. Wygląda mi to na strasznie naciągane.

— Ale jednak ktoś pobił tę dziewczynę i to dokładnie w momencie, kiedy chcieliśmy ją zgarnąć.

— Może to też ściema?

— Nie — jednoznacznie stwierdził Leśniak. — O mały włos nie trafiła na tamten świat. Nikt dla zatarcia śladów sam się tak nie urządzi.

— Pewnie masz racje — niechętnie zgodził się Pieniążek.

— Muszę jeszcze raz to przemyśleć — dodał Leśniak. — Może powód śmierci dziewczyny był zupełnie inny.

— O czym myślisz?

— Zobacz — Leśniak wziął kartkę i zaczął notować. — Około wpół do ósmej przychodzi Jacher. Dziewczyny kłóć się i po krótkiej szarpaninie Iwona, jak sama zeznała, wychodzi z mieszkania mniej więcej kwadrans później. Wraca jakiś czas potem. Widzi wtedy kogoś w środku, a na podłodze leży jej rywalka. Sąsiadka twierdzi, że widziała, jak Iwona wybiega z klatki schodowej piętnaście po ósmej. Zakładając, że za drugim razem, gdy znalazła zwłoki, była u Szabłońskich góra minutę lub dwie, to dawałoby hipotetycznemu mordercy około dwudziestu pięciu minut. To dużo.

— Może i tak. Ale według mnie to się jakoś kupy nie trzyma. Zbyt wiele tych zbiegów okoliczności.

— OK — zgodził się Zbyszek — Ale nawet, gdyby dopuścić taką ewentualność, to wytłumacz mi, po co ktoś nagle zjawia się u Szabłońskich i morduje ich córkę?

— Gwałt nie, bo nie było śladów. Rabunek? — Pieniążek wzruszył ramionami. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Nie, za cholerę nie pasuje. Matka Doroty twierdzi, że są ludźmi absolutnie niezamożnymi i o tym wiedzieli wszyscy.

— Trudno ustalić, co zginęło. Przy takich zniszczeniach.

— I dlatego musimy znów pogadać z rodzicami ofiary.



Zbyszek czuł się, jakby doświadczał *déjà vu*. Znów, jak przed kilkoma dniami, siedział w mieszkaniu ciotki ofiary. Jedyna różnica to obecność Alfreda Szabłońskiego — ojca Doroty. Mężczyzna był blady, nieogolony, miał podkrążone oczy. Każda sekunda cierpienia po stracie córki wyryła w jego twarzy głęboką bruzdę. Leżał w nieświeżej, wygniecionej pościeli. Czuło się, że od kilku dni nie ruszał się z łóżka.

— Proszę spróbować sobie przypomnieć — perswadował Leśniak. — Czy było w państwa mieszkaniu cokolwiek, co mogło skusić złodzieja?

Jednak Szabłońscy zgodnie twierdzili, że nie mieli nic. Nawet ich telewizor był tak stary, że nikt by się nie połakomił — zresztą znaleziono go w gruzowisku, a innego sprzętu nie mieli. Jedynymi kosztownościami były obrączki ślubne.

— Wszystko, co mieliśmy, to trzymaliśmy w banku. Ale dwa dni przed... — ojciec otarł łzę — podjąłem dwadzieścia pięć tysięcy. Na samochód. W tamten czwartek... rano byłem zapłacić za auto...

— Mówił pan komuś o tych pieniądzach?

— Nie — pokręcił głową.

— Fredek — włączyła się Szabłońska — Mówiłeś, że spotkałeś w banku Ortowskiego.

Prawda. Spotkałem sąsiada. Ortowskiego. Ale... — mężczyzna spojrzął

przenikliwie na policjantów. — To dobry człowiek, znamy się ze trzydzieści lat.

Jedziemy do szpitala. Cholera, ile możemy czekać, żeby pogadać chwilę z gówniarą — Zbyszek wściekł się i zaczął kłać na szpitalu, medyków i durne procedury.

Wiedział, że lekarze bronią mu dostępu do dziewczyny w przekonaniu, że tak będzie lepiej dla jej zdrowia, ale on nie miał już siły ani czasu, żeby czekać. Został ze sprawą sam z Jurkiem. Resztę grupy musiał oddelegować na polecenie szefa do jakiś bezsensownych w jego odczuciu spraw.

Był zmęczony. Teraz, gdy nie było Orłowskiej, musiał odwalać też tę najgorszą część jej roboty. Kiedy Edyta się tym zajmowała, nie dostrzegał ogromu absurdalnej, biurokratycznej powodzi. Że ślęcząc nad papierami, coraz więcej kwestii umyka uwadze, że jest się zupełnie rozproszonym. Tonął w sprawozdaniach, raportach. Każda najdrobniejsza czynność — jego albo podwładnych — wymagała tysięcznego uzasadnienia w dokumentach. Z gliniarza stał się nagle buchalterem. Nie skupiał się już na śledztwie, tylko na wykazywaniu, jak je prowadzi i dlaczego właśnie tak je prowadzi. Zauważył, że przed każdym krokiem, który ma podjąć, przed niemal każdym działaniem, zaczyna się zastanawiać, czy warto. Czy warto, bo trzeba będzie potem sporządzać z tego raport i jak to będzie wyglądało w statystyce.

Wszędzie, cholera, tylko bariery, przeszkody i ograniczenia! — kłał więc w duchu i wściekał się na lekarzy, choć bogiem a prawdą nie byli winni tej sytuacji.

W szpitalu wymusił na ordynatorze pięć minut rozmowy z Jacher.

— Pamiętasz coś? Cokolwiek z piwnicy?

— Weszłam na klatkę — mówiła obolała dziewczyna.

Sińce pod oczami zaczęły schodzić i na jej, jeszcze niedawno ślicznej twarzy, wykwitł ohydny brązowy cień. Rozcięte wargi były wciąż jeszcze napuchnięte. Gdy Leśniak ją zobaczył, złość wyparowała zamieniając się we współczucie.

— Ktoś stał przy zejściu do piwnicy. Pomyślałam, że to któryś sąsiad. Nie zastanawiałam się nad tym. Zaczęłam iść po schodach i poczułam, że ktoś idzie za mną. Chciałam się obejrzeć, ale... Chyba walnął mnie w głowę. Pamiętam, że się przewróciłam i... Widziałam tylko adidasy. Żółte. Nigdy nie widziałem tak żółtych butów... I tyle.

Dobra — policjant spojrzął na dziewczynę, zastanawiając się, czy powinien ją jeszcze męczyć. Ale może była to jedyna okazja do rozmowy, więc pytał dalej. — A jak to było z Dorotą?

Przełknęła ślinę. Odwróciła głowę, by nie patrzeć podkomisarzowi w oczy.

— Strasznie się z nią pozałam. Skłęłam ją od najgorszych i uderzyłam w twarz. — Głos Iwony zatrzęsł się. — Cholera, tak mi teraz głupio. Znałyśmy się od podstawówki. A z powodu Łukasza... Zeszłam na dół, na schody i zaczęłam beczeć. Zrobiło mi się tak strasznie wstyd. Chciałam to jakoś naprawić. Przeprosić, że tak się jak idiotka zachowałam. Że się darłam na nią, wypisywałam wredne rzeczy. Głupia byłam.

— Wróciłaś na górę?

Pokiwała głową.

— Długo ryczałam na dole. Nie wiem ile, ale długo. Pozbiebrałam się i poszłam na czwarte piętro. Zobaczyłam, że drzwi są dalej otwarte. Trochę się zdziwiłam, że ich nie zamknęła, ale przecież nie myślałam, że coś się tam stało. Zawołałam: Dorota! i weszłam do środka. Ona leżała na podłodze i było pełno krwi. Kogoś zobaczyłam w kuchni.

Leśniak podał dziewczynie chusteczkę, żeby mogła wytrzeć oczy.

Do sali weszła pielęgniarka.

— Proszę kończyć, panie oficerze.

Leśniak kiwnął głową i wstał. Na odchodnym zapytał jeszcze:

— Uciekłaś?

— Strasznie się bałam. Bałam się, że mnie też zabije, a potem to bałam się, że będzie na mnie. Że to ja ją...

— Jak tam? — spytał Jurek, gdy ruszyli spod szpitala wojewódzkiego.

— To nie ona. Jestem pewny. Jest przerażona.

— Może o własną skórę? Boi się kary.

— Nie. Taki strach wygląda inaczej. Ona się boi jak zaszczute zwierzę.

— Nie ma wyjścia — powiedział Leśniak, kiedy następnego dnia śledczy spotkali się w pokoju grupy dochodzeniowej — jeszcze raz trzeba pogadać z sąsiadami, może ktoś sobie coś przypomniał. Może my coś przeoczyliśmy. Inaczej nie ruszymy z miejsca.

— Od kogo zaczniemy? — zapytał Jurek.

Podkomisarz smętnie wzruszył ramionami i z obojętnie zniechęconą miną odpowiedział:

— Myślę, że to nie ma znaczenia. Większym problemem będzie w ogóle ich wszystkich teraz znaleźć.

Po całodziennych poszukiwaniach rozproszonych po całym mieście, pozbawionych swych mieszkań rodzin, po zadaniu ileś razy tych samych rutynowych pytań, śledczy byli o krok od rezygnacji. Postanowili jeszcze załatwić dziś jeszcze jedną rodzinę — a później przerwa.

Mieszkanie, do którego weszli, niczym nie różniło się od setek innych — widywanych w każdej biednej kamienicy. Należało do szwagra Ortowskich, mieszkających naprzeciwko Szabłońskich. Szwagier — chociaż były — chwilowo gościł rodzinę dawnej żony.

W dużym pokoju, o ścianach oblepionych brązowym tytoniowym nagarem, na burym fotelu pamiętającym wczesnego Gomułkę, siedział zmęczony mężczyzna. Chudy jak wiór, zgarbiony, w niezmiennianej od dawna koszuli. Obok, na wersalce, w zasięgu ręki leżały kule.

Adam Ortowski wydawał się przygnieciony życiem. Co zresztą w obecnej jego sytuacji, nie było niczym zaskakującym. Tępo

wpatrywał się w wyciszony telewizor — zdawał się ignorować funkcjonariuszy jak natrętne muchy w lecie.

— Panie Ortowski — powtarzał Pieniążek, krzywiąc się od nadmiaru papierosowego dymu. — Czy Szabłoński mówił panu o pieniądzach, które podjął w banku?

Mężczyzna mrużąc oczy, cmoknął cicho. Widać było, że próbuje odtworzyć sobie przebieg spotkania ze swoim sąsiadem. Stojąca przed nim na niskim stoliku, opróżniona do połowy butelka mogła sugerować, że nie będzie mu łatwo. W tym czasie znudzony Leśniak, żeby zaczerpnąć powietrza i odciąć się nieco od unoszącego się wszędzie dymu, stanął w rogu pokoju, za drzwiami prowadzącymi do jego wnętrza. Nim Ortowski zdążył wykszusić choćby słowo, drzwi mieszkania trzasnęły i do środka wpadł ogolony na łysa osiłek.

Zbyszek w pierwszej chwili bez większego zainteresowania spojrzął na odwróconego do niego tyłem młodego człowieka, który był wyraźnie zaskoczony widząc w pokoju obcych.

— Co jest, ku...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie podkomisarz powalił go na ziemię.

— Ręce! — wrzasnął. — Do tyłu i spokój!

W jednej sekundzie w sennym do tej pory pomieszczeniu rozgorzało piekło. Zbyszek siedział okrakiem na młodzieńcu i wrzeszczał na niego. Tamten próbował się wyszarpnąć spod ciężaru policjanta. Zdezorientowany Jurek zerwał się z krzesła, na którym siedział do tej pory i rzucił na pomoc przełożonemu. Ortowski darł się w niebogłosy, żeby nie bili mu dziecka.

Dopiero po kilku minutach sytuacja została opanowana.

Cztery godziny później młody Ortowski czekał w komisariacie, aż Leśniak zweryfikuje swoje podejrzenia. Policjant wiedział, że tak naprawdę nie ma żadnego twardego dowodu, że zdecydował

w jednej sekundzie o zatrzymaniu mężczyzny tylko pod wpływem przecucia, potwierdzonego teraz przez kilka fotografii pokazanych pobitej dziewczynie. Iwona Jacher nie miała wątpliwości, że już widziała to, co przedstawiały.

Teraz ostatni raz rzucił okiem na chłopaka siedzącego w pokoju przesłuchań. Ten patrzył tępyim wzrokiem przed siebie. Od czasu do czasu nerwowo zerkał na boki. Był spięty, mimowolnie trząsał nogą. Pewnie wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy, dlaczego wpadł. Nie wiedział, że zgubiły go jaskrawożółte buty.

Leśniak miał świadomość, że to słaabotka poszlaka. Musiał zagrać *va banque*. Po dresiarzu nie spodziewał się wyrafinowanej linii obrony. Albo pójdzie w zaparte i nic z niego nie wydusi, albo od razu się przyzna. Śledczy liczył na jakiś słaby punkt. Nie spodziewał się tylko, że tak szybko go znajdzie.

— No to, o której z dziewczyn porozmawiamy najpierw? — zagał policjant.

— Nie wiem, o czym pan mówi — mężczyzna odwracał wzrok rozglądając się po pomieszczeniu, jakby w suficie mógł znaleźć drogę ucieczki.

— Ortowski, proszę, ja nie mam czasu. Ale skoro nie chcesz rozmawiać o dziewczynach, to pogadamy o pieniądzach. Skąd wiedziałeś, że u Szabłońskich będzie gotówka.

— Nie wiem, o czym pan mówi — stwierdził. Ale w jego głosie dało się wyczuć niepewność. Pewnie nie spodziewał się, że gliny skojarzą taki motyw. Przecież ostatecznie nic nie ukradł.

— Ojciec ci powiedział? No, na pewno ojciec. Zastanawiam się tylko, czy naraził ci robotę, czy co? Dwadzieścia pięć kółek, niezła kaska.

— Odwal się pan od mojego starego.

— OK — Leśniak zaczął wstawać od stołu. — No to ojca też musimy wsadzić.

Młody zerwał się:

— Mówiłem! Odwal się od ojca.

— No to opowiedz mi coś ciekawego. Przysługa za przysługę. Zbyszek stał wyczekująco przez kilka sekund. Młody usiadł i patrzył na niego morderczym wzrokiem. Leśniak ruszył od stołu.

— Dobra. Pogadamy później.

— Czekaj pan. Ojca zostawcie, chory jest. Słyszałem, jak matce mówił, że sąsiad furkę kupuje.

Zbyszek wrócił na miejsce. Usiadł i odchylił się do tyłu czujnie spoglądając na Ortowskiego.

— Nie tak miało pójść, co? U Szabłońskich kasy nie było. A ty: straciłeś dom, zabiłeś dziewczynę, drugą o mało co. Straciłeś wszystko — zamilkł na chwilę, po czym dodał — twój blok zburzą. Nawet nie wiem, ile milionów będzie kosztowało jego postawienie od nowa. Blok to nic, bo można go odbudować, ale dziewczynie życia nie wrócisz. Po coś to, do cholery, zrobił? Dla dwudziestu pięciu tysięcy?

— To nie tak miało iść.

— A jak miało?

— Myślałem, że Doroty nie ma w chałupie, że pobiegła za tamtą laską. Chciałem skroić kasę i tyle. Wszedłem do kuchni, bo wiedziałem, że tam Szabłońska trzyma szmalec. Kiedyś widziałem. A wtedy Dorota wyszła z łazienki. Ryczała. Zobaczyła mnie i się wkurwiła. Zaczęła pyskować, to wzięłem coś do ręki, podleciałem do niej i dałem w łeb, żeby była cicho. Takim od kotletów.

— Tłuczkiem?

— No. Wymyśliłem, że to będzie na laskę, co tam wcześniej była, bo się tak darły, tak se skakały do oczu o jakiegoś szczyła. Zacząłem szukać kasy. A wtedy usłyszałem, że ta się wróciła i woła Dorotę. Zaczaiłem się i ona uciekła.

— A potem?

— Nie znalazłem kasy. Cała sprawa na darmo — to zdaje się Ortowskiego martwiło najbardziej. — Pomyślałem, że jak jej włożę



głowę do pieca, to będzie, że se samobója strzeliła. Odkręciłem gaz i poszłem. A potem wszystko pierdoliło — to już pan wie.

— A ta druga dziewczyna.

— Znałem ją z widzenia. Bo ładna była. Widziałem, że gliniarze u niej byli i pomyślałem, że mnie może poznać. Zaczekałem aż wejdzie do klatki i walnąłem w głowę.

— Mogłeś ją zabić.

— No tak, wtedy nie mogłaby mnie poznać.

— Warto było?

— Nie. Przecież nie znalazłem tej kasy i jeszcze chatę rozpierdoliłem.

Jurek czekał na Leśniaka za szybą weneckiego lustra.

— Słyszałeś? — spytał podkomisarz.

— Smutna refleksja...

— Najgorsze, że kasy nie było.

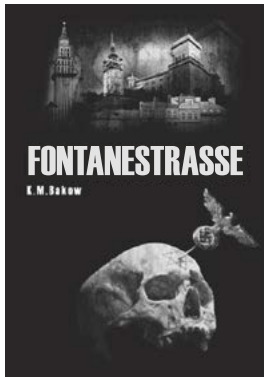
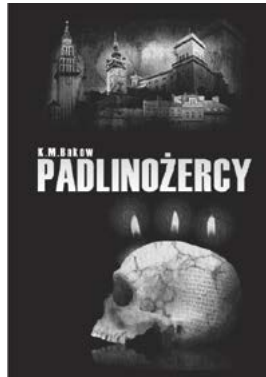
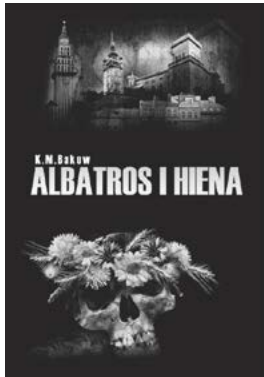
*Bielsko-Biała, listopad 2015*

Copyright © by Krzysztof Marek Bąk, 2016  
Copyright © by Fundacja Ludzie-Innowacje-Design, Bielsko-Biała, 2016



K O M I S A R Z   ●   R Ł O W S K A

Fundacja Ludzie-Innowacje-Design  
wydawca cyklu powieści kryminalnych  
o śledztwach komisarz Edyty Orłowskiej i bielskich policjantów  
poleca



[www.komisarzorlowska.pl](http://www.komisarzorlowska.pl)